Ner. 1. Kraków 1 października 1866. Rok I.



Prenumerata miejscowa wynosi: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., *ćwierćrocznie* 1 złr. 60 c. w. a.— Z przesyłką pocztową: *rocznie* 7 złr. 20 c., *półrocznie* 3 złr. 60 c., *ćwierćrocznie* 1 złr. 80 c. — *Prenumerata zagraniczna* bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.

Mody i kroje *rocznie* 3 złr. 30 c., *półrocznie* 1 złr. 70 c., *ćwierćrocznie* 90 c. w. a.
Nuty rocznie 1 złr. 25 c., *półrocznie* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.
W Krakowie prenumerować można w biórze redakcyi: ulica żydowska, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni Wgo. Czecha.

We Lwowie można prenumerować i odbierać w ajencyi Hercoka i Arnolda na Halickiém.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Słowo wstępne.

Rozpoczynając wydawnictwo nowego pisma, uważamy za obowiązek wytłómaczyć się pokrótce przed Publicznością, co nas skłoniło do tego, jaki nasz cel, jakiemi drogami dążymy do niego i z jakiemi zasobami.

Niepotrzeba — zdaje nam się — nikomu udowadniać, jak ważne jest stanowisko kobiety w społeczeństwie. — Kobieta jest natchnieniem mężczyzny; im więc wyższe jéj wykształcenie, tém natchnienia te wznioślejsze, czystsze, tém wpływ jéj szlachetniejszy. Wykształcenie więc (ale nie uczoność) kobiet leży w interesie społeczeństwa. Z drugiéj jednak strony trudno wymagać, aby kobieta równo z mężczyzną przebywała długą drogę studyjów, sam czas na to jéj niepozwala — za ścianami pensyjonatu czeka na nią nawał zajęć i obowiązków równie ważnych jak koniecznych, które po ślubie mnożą się coraz bardziéj. Tu niema co mówić o systematycznych studyjach — to, czego niedouczyła się na pensyi kobieta, chwyta teraz dopadkowo bądź w towarzystwie, bądź w książkach, bądź w pismach peryjodycznych. A że o towarzystwa kształcące umysł często trudno, popularnych ksiąg niewiele — więc w znacznéj części dopełnienie wykształcenia kobiety zostaje udziałem pism peryjodycznych. Tak pojmujemy ważność pism.

Tymczasem pism takich brak u nas, bo te, które wychodzą w Warszawie pod naciskiem cenzury moskiewskiéj, nieodpowiadają potrzebom i wymaganiom naszych niewiast.

Sądziliśmy, że ktoś równie jak my zapatrując się na tę rzecz, podejmie to ważne wydawnictwo. Czekaliśmy dotąd napróżno, podejmujemy je więc sami, przynosząc do niego i doświadczenie nabyte przy współpracownictwie „Niewiasty“. Nie łudzimy się łatwością zadania, czujemy cały ciężar odpowiedzialności, biorąc na siebie kierunek ruchu umysłowego niewiast, ale nie cofamy się, ufni w pomoc szlachetnych. Komu się zdaje, że źle idziemy, niech przestrzeże, da radę, a przyjmiemy z wdzięcznością każdą, jeżeli jéj nie podyktuje prywata, jadowita złośliwość; ale piecza o dobro publiczne.

Nie przylepiamy na czele naszego pisma całego szeregu współpracowników, którzy nam łaskawą pomoc przyrzekli — nadużyto tego sposobu i nikt weń nie wierzy. Dość wspomnieć, że mamy zapewnioną pomoc i współpracownictwo znanych autorek i autorów, otwierając zarazem pole dla nowéj generacyi piszących. Szereg ich prac, zajmujących się szczegółowo życiem kobiety i stanowiskiem jéj w społeczeństwie, z przyszłym numerem umieszczać rozpoczniemy.

ŻONY NIEWOLNIKÓW.

I.

Niespodziewani.

Jest wieczór jesienny, księżycowy — ciemno-seledynowe niebo, na niém gdzie-niegdzie emalia z białych obłoków, srebrnych po krawędziach. Na tle tego nieba czerni się dwór na wzgórzu, otoczony topolami i ogrodem — przez poplątane czarne pnie drzew i przez drobne dygotające liście przeziera złota tarcza księżyca i okna dworu jasno oświetlone. Poniżéj dworu przy topolowéj alei stoi kuźnia i mieszkanie kowala — drzwi chaty otwarte — widać ogień na kominie wijący się koło garnków okopconych — w progu chaty na tle ogniska rysuje się głowa kobiety, siedzącéj z dzieckiem uśpioném na ręku.

W takiéj cichéj sielance zaczyna się powieść nasza, zanim ją zmąci zawierucha bolów i namiętności.

Za rzeką we wsi psy zaczęły ujadać mocno, na gościeńcu dał się słyszeć turkot wózka. Na wózku siedziało dwóch mężczyzn, jeden młodzieniaszek prawie, drugi już u schyłku męskiego wieku. Młody przytrzymywał za skórzaną obrożę dużego czarnego psa, który mu się niespokojnie wił pod ręką.

— Mera, siedź cicho.

Pies przycupnął, ale nie przestał skomleć i bić ogonem, a wzrokiem zdawał się mówić do swego pana: puść mnie.

— Jak ona wymownie prosi — no leć, leć!

Pogłaskał psa i puścił. Pies wskoczył z szelestem między bujny rzepak pokryty szronem i wnet zniknął z oczów, tylko radosne, urywane skowyczenie słychać było to po jednéj, to po drugiéj stronie drogi. Pies sobie przypominał przeszłość. Czasami wracał do wózka, zaszczekał kilka razy, jakby coś opowiadał, jakby się chciał dzielić radością z panem i znowu odlatywał.

—Patrz pan — odezwał się młodszy — po tylu latach jak ona poznała te strony. Poczciwe zwierzę. Nieraz tam w obczyźnie, kiedy tęsknota za krajem łzy mi wyciskała, ten pies patrzył na mnie takim wzrokiem współczucia, jakby miał duszę i serce.

— Dla czego pan mówisz „jakby“. Wątpiąc w to, musiałbyś pan uczucia miłości stron rodzinnych, przywiązania, żalu nazwać czysto zwierzęcym popędem. Widziałem psa, co skonał z żalu na grobie — ludzie to rzadko umieją.

Mówiąc to, rozśmiał się trochę szyderczo, trochę boleśnie.

Przejeżdżali koło rzeki szerokiém płynącéj korytem— w księżycowém oświetleniu za mgłą niebieskawą miała podobieństwo do olbrzymiego zwierciadła, przesłoniętego gazą. Pies stanął nad rzeką i zawył.

— Poznała i te miejsca. Tu ją wyratowałem od śmierci. Było to podczas wielkiego wylewu rzeki: wśród mnóstwa sprzętów, które mętna woda ponosiła, zobaczyłem psią budkę płynącą, ta suka przykuta do łańcucha siedziała na dachu budy, trzymając się silnie łapami, pysk podniosła w górę i wyła boleśnie z rozpaczy, że nie mogła ratować ani siebie, ani swych szczeniąt, które spadając z mokrego daszku w rzekę tonęły. Ostatnie trzymało się jeszcze matki, łapkami spinało się z wysiłkiem na brzeg daszku, wtem buda uderzyła o pal mostowy i ostatni szczeniak skomląc, spadł w mętne bałwany. Nie uwierzysz pan jak tragiczną była ta scena, jak rozdzierającą serce boleść tego zwierzęcia. Żal mi się go zrobiło — obiecałem ludziom stojącym na brzegu nagrodę za wyratowanie psa i odtąd mam go przy sobie. Bywały chwile, w których on był jedynym moim towarzyszem i przyjacielem, dziwnie przywiązał się do mnie i rozumiał mnie. O patrz pan — teraz biegnie ścieszką od mostu, tam, ku temu okopconemu kominowi, co sterczy wśród gruzów — to szczątki chaty, w któréj się urodziłem — tam często chodził on ze mną.

Przestał na chwilę mówić i patrzał.

— Jak dziwne wrażenie robi na mnie zawsze ta kupa gruzów i gliny, pamięć buduje z nich napowrót przeszłość. To jedyne pamiątki po moich ojcach — w płomieniach palącéj się chaty zginęli oboje — sieroty zabrał dziedzic do dworu. Tam druga część moich wspomnień.

— Równie smutnych?

— O nie.

— Jakaś uroczystość dziś musi być we dworze — w oknach światła tyle.

— Dziś imieniny mojego opiekuna.

— Czy ma dzieci?

— Ma córkę.

Ten, który pytał, spojrzał badawczo w twarz mówiącego, pokiwał smutnie i mówił najprzód zwolna i cicho, potem twarz jego się rozogniała i głos silniał.

— O ja rozumiem takie chwile, jaką ty masz teraz mój młody przyjacielu, i ja kiedyś miałem takie chwile rozkosznego drżenia. Nie byłem tak potwornym jak teraz, byłem nawet przystojnym, — Aniela kochała mnie bardzo. I ja ją kochałem, ale bardziéj niż ją, kochałem wolność narodu — pożegnałem więc ją i poszedłem się bić. Pod Ostrołęką dostałem się do niewoli — zapędzono nas w Sybir. Niechcąc wiązać losu dziewczynie, odesłałem jéj zaręczynowy pierścionek i zwolniłem z danego słowa. Bóg widział co się działo wtedy w mojéj duszy, zrywałem ostatnie nitki wiążące mnie z życiem; okropnie to pomyśleć, że tam w kraju ani jedno już serce nie będzie za nami gonić myślami, nie zapłacze, nie zatęskni; ale darmo, sumienie nakazywało mi tak zrobić. Sybirskie mrozy wygryzły łzy z mojéj twarzy — uspokoiłem się, raczéj obumarłem.

Po kilku miesiącach dostałem list — list od niéj, w liście pierścionek — pisała mi, że nie będzie tylko moją. O! to był jedyny dzień w życiu, w którym mogłem oszaléć z radości — jeden — jedyny.

Po kilku latach staraniem jéj familii uzyskałem pozwolenie wrócenia do kraju. Wracałem, ale zmieniony do niepoznania. Niezwykłe mrozy szkodliwie podziałały na moje ciało, potworzyły się jakieś wrzody, skorupy, z pod których twarz moja wyszła w téj potwornéj formie, w jakiéj ją teraz widzisz. Zdrętwiałem, ujrzawszy się pierwszy raz w zwierciedle, alem znalazł pociechę w przypomnieniu jéj ostatniego listu. Kobieta, która się zdobyła na takie postanowienie, ukochała zapewne sercem nie oczami. Ta nadzieja mnie ożywiała. Drżałem z radości, jak ty teraz drzysz może, kiedym się zbliżał do miejsc, w których ona mieszkała.

Opowiadający przerwał opowiadanie, oczami zawisnął jakby nad jakąś czarną przepaścią i patrzał w nią ponuro.

— No i cóż?...

Pytanie zbudziło go.

— Co? Zobaczywszy mnie, zemdlała — to była zbyt wymowna odpowiedź, bym mógł nie zrozumieć. Potém przymuszała się patrzéć spokojnie na moją brzydotę, ale ja czytałem wyraźnie odrazę i przymus na jéj twarzy — oddałem jéj więc pierścionek i wyjechałem. — Widzisz co to jest kobieta — umiała się zdobyć na wielkie poświęcenie, na długie lata wyczekiwania, może wiecznego staropanieństwa, ale nie umiała kochać człowieka z oszpeconą twarzą. Ona kochała się tylko w piękności. Nie dziwiłem się temu wiele. W pół roku potém poszła za mego brata. — To było już urągowisko zbyt bolesne, ból mój zamienił się w wściekłość, bo trzeba ci wiedzieć, że brat był podlec: gdym odjeżdżał do powstania, na przypadek niefortunnych wypadków, chciałem zabezpieczyć mój majątek od konfiskaty, zrobiłem więc formalne zrzeczenie się praw moich na niego. Wróciwszy z niewoli, zażądałem zwrotu majątku, łotr pokazał mi mój zapis i powiedział mi: niemasz nic. I ten sam brat został mężem mojéj narzeczonéj. Pojmujesz ty co się tam wtedy dziać musiało we mnie, burza najdotkliwszych boleści i najszkaradniejszych namiętności szalała we mnie i tłukła się po piersiach. O, granitowa to pierś być musi, że ją ta burza nie rozwaliła w gruzy. Ale cóż mogła wściekłość biednego wygnańca przeciw temu, którego broniło prawo i bagnety moskiewskie? Do kraju wrócić nie mogłem. Uczucie zemsty nie szkodząc jemu, mnie samemu tylko piersi paliło. Posłałem mu raz wyzwanie — nie odpisał, pod tarczą wroga czuł się bezpieczny. Ale teraz czas się zmienił, trybunał rewolucyjny będzie nas sądził, wracam aby się mścić.

— Ja sądziłem, że pan wracasz bić się za wolność.

— Chcę walczyć z tém co złe, co podłe, co nas krzywdzi — a on do nich należy. Ja przebaczać nie umiem.

Wózek zatrzymał się przed karczmą, młody człowiek wyskoczył z niego i rzekł:

— Pójdę naprzód, przywitam moją siostrę — czekam tam pana.

I poszedł w górę ku dworowi.

Kobieta siedząca w progu chaty, słysząc szelest kroków po zwiędłych liściach, ruszyła się.

— To wy Marcinie?

Chciała coś mówić daléj, niedokończyła, zobaczywszy obcego człowieka przed sobą.

— Teresko — odezwał się przybyły serdecznym głosem — nie poznałaś mnie? Twój brat — Jan.

— To wy? — zawołała kobieta radośnie i zerwała się na powitanie. Rzewne było powitanie sierót — on był wzruszony, ona trochę do niego nieśmiała.

— I cóż tu nowego u was? — spytał wchodząc z nią do izby.

Rozsunęła fałdy chustki, w którą była okryta i za odpowiedź pokazała mu uśpione dziecko. Jan pocałował je ostrożnie, by nie przebudzić i przyglądał mu się z uczuciem.

(Ciąg d. nast.)

Z PAMIĘTNIKA WIĘŹNIA.

Niewiem ile tam naliczyć musieli
Dni ci, co wolni — tu w więziennéj celi
Czas się tak wlecze, że choć nie daleki
Tu rachowany, uczyniłby wieki.
Jakże to dawno, że przypomnieć trudno,
Jak wprowadzono mnie w tę celkę brudną
I drzwi zamknięto. — Po odejściu ludzi
Cisza jak ołów gniotła pierś wzburzoną —
Letargnikowi tak być musi pono,
Kiedy się w trumnie zapóźno obudzi
I słyszy łoskot rzucanéj na wieko
Ziemi i dzwonów pogrzebowych bicia —
O! jak to straszny taki grób za życia.

Cały mój widok — to ten nieba skrawek
Jak szklanna szyba oprawiony w mury —
Czasem błękitny, czasem po nim chmury
Żeglują szare, albo stada kawek
Przelecą z krzykiem; — czasem nad zachodem
Kiedy się niebo przeczysto wygładzi,
Wypłynie księżyc złoty — gwiazda przodem
Jak dziecko małe, co ślepca prowadzi.
Ha! i to dobre — i to sercu błogo,
Że oczów okuć w kajdany nie mogę. -

Warta przechadza się przez korytarze
Miarowym chodem w kamienie uderza
Jak stukające wahadło w zegarze —
Czasem łańcuchy brzękną, czasem wieża
Godzinę powie i znów cisza spora —
Tak będzie jutro i tak było wczora —
Dzień za dniem. A nie! prawda! wczoraj rano
Krzyk przeraźliwy przerwał ciszę głuchą,
Podobno drobnym dzieciom matkę brano...
Do drzwi okutych przyłożyłem ucho,
Słyszałem piskląt krzyki przeraźliwe,
Słyszałem matki płacz taki, że w drzewiem
Uczuł, jak gdyby drzenie litościwe —
Czy serca ludzi tych zadrzały — niewiem.

I wyżebrała u nich tyle przecie,
Że zostawili jéj najmłodsze dziecię.
Śliczne dzieciątko — oczka ciemne, duże
Jak dwa fiołki rzucone na róże —
A kiedy główkę na krat brzegi składa
I sploty włosów rozrzuci bogate,
Tobyś przysięgał, że tam, gdzie włos pada
Najczystszém złotem ktoś pozłocił kratę.
Żal ściskał serce patrzącym na oną
Dziecinę u krat rączką uczepioną,
Jak się oczkami smutnemi nieśmiała
Po tych posępnych murach rozglądała.
Może szukała kwiatków i zieleni —
A zobaczyła pod oknami straże,
I za kratami zwiędłe więźniów twarze,
I nic — nic więcéj w koło — prócz kamieni.

Boże! jakże ty dziwną wiedziesz drogą
Dzieje onego ludu w przeznaczenie,
Którego dzieciom zabawką być mogą
Więzienne kraty i kajdan brzęczenie —
A czoło matki, gdzie boleść wyryta —
To pierwsza książka, z której dziecko czyta.
I strój świąteczny jego — strój żałoby
A pierwszy spacer z piastunką — na groby.

Elpidon.

Bołtuski

Z PRZYRODY.

Olbrzymi postęp, jaki nauki przyrodnicze zrobiły w ostatnich czasach, pokazał nam, że bardzo mało jeszcze znamy przyrodę, że z jéj nieprzebranych tworów ledwie cząsteczkę znamy. Poruszamy się wśród mirjad stworzeń, których nie widzimy, stąpamy po roślinkach ledwie dojrzanych okiem; przepływamy morza, niemyśląc nieraz, że pod nami rozwija się bogata roślinność, że się krzewią olbrzymie, przepyszne podmorskie ogrody i lasy, rośliny, których długość dochodzi do 338 stóp paryskich (Macrocistis pyrifera). Człowiek dopiero powoli z pomocą chemii i z mikroskopem w ręku zdobywa sobie znajomość tych nieznanych światów, z podziwem rozpatruje się w téj nieprzebranéj rozmaitości, studyjuje prawa ich bytu i często te mikroskopowe twory szepczą mu wielkie prawdy filozoficzne, szepczą mu o olbrzymiéj potędze maluczkich. Przyroda bowiem pracuje nieustannie w najmniejszych swoich tworach — małe ledwie okiem dojrzane porosty wodne, na których ani liści, ani kwiatu, ani owocu dotąd odkryć się nie udało; których całość składa się z jednéj komórki, a rozmnażanie dzieje się przez rozdrabnianie i rozrost téjże: te małe roślinki siłą swéj niesłychanéj płodności (według obliczeń Ehrenberga jedna taka roślinka w 4ch dniach rozmnaża się w 140 bilionów) podnoszą pokłady ziemi, i w długie wieki pokazują nam dopiero wielkie rezultaty téj bezustannéj pracy. Innych działanie jest jeszcze więcéj szybsze i widoczniejsze. Według podania Göpperta w okolicy miasta Swidnicy w kanałach, któremi odprowadzano wodę z gorzelni, potworzyła się taka mnogość białych płateczków w wodzie, że zatamowała jéj odpływ. Był to tak zwany *len wodny*, mleczno-biały. W skutek tego woda poczęła gnić i nieprzyjemnie cuchnieć, co jeszcze bardziéj sprzyjało rozmnażaniu się tych roślinek — do tego stopnia, że choć każda z nich była ledwie cieniutką niteczką, łącznie uformowały massę, podobną do wełny owczéj, i nią całe dno kanału wyłożyły w rozległości 10,000 stóp kwadratowych, i nawet zima rozrostu ich wstrzymać nie mogła. Tych parę przykładów pokazuje nam niesłychaną płodność natury i pracę jéj w najdrobniejszych tworach. Tam, gdzie my śmierć widzimy, zaczyna się życie, tylko pod inną postacią, gnijące ciała są kolebką nowych tworów. Na zwęglałych pokładach przedpotopowych palmowych lasów powstają nowe lasy, nowe ziemie — niema śmiertelności w naturze. Podnieśmy np. z ziemi uwiędłą i złamaną łodyżkę maku — mak już odrobił swoje, usechł i skonał. Ale na téj łodyżce powstały czarne plamki, przypatrzmy im się przez mikroskop, a rozwiną nam się w bujne lasy, w gąszcze drzew poplątanych. Każde drzewko podobne trochę do palmy, składa się z komórek, niby nawiązanych perełek; po bokach i końcach gałązek są punkciki, niby ziarenka, służące do dalszego rozwoju i wzrostu. To, co widzimy na łodyżce maku, powtarza się na próchniejących pniach, na opadłych liściach, na konających częściach roślin, na ciałach organicznych, które są w stanie rozkładu, gnicia, burzenia. Porosty te i pleśnie, to niby miriady liliputków, które wszędzie wlezą i nic im się nie oprze. Pozwolono im żeby żyły — to dosyć dla nich, nie poradzi im ani graca ogrodnicza, ani nóż, obsiędą ziemię w wazonie, wazonik sam, rozplenią się na terasie, w piwnicy, dziesięć razy wyniszczone, sto razy odżyją; a wlezą i do słoików i na słodkich konfiturach rozciągną się

jako pleśń zielonawa. Ciekawe i zajmujące są dzieje tego liliputkowego świata, cóż dopiero mówić o większych tworach. Człowiek z każdym dniem bardziéj podpatruje tajemnice przyrody, więcéj odkrywa dziwów i ciekawsze robi spostrzeżenia. Za granicą jest mnóstwo dzieł i wykładów w tym przedmiocie — pragnęlibyśmy i my obznajmić z nim czytelniczki nasze, dla tego i dla badań przyrodniczych poświęcimy od czasu do czasu parę szpalt naszego pisma; będziemy się starali artykuły te uczynić przystępnemi i zajmującemi. Rozpoczniemy „wędrówkami roślin“; damy następnie „obraz świata roślinnego w Tatrach“; zestawimy tropik i bieguny, wprowadzimy czytelniczki w czarodziejskie ogrody podwodne, które się nam otwarły pod zaklęciem nauki, i przez mikroskop przypatrzymy się dziwom niewidzialnego świata. —I.—

KOBIETA

(podług Bogumiła Goltza).

I.

Coraz więcéj przybywa dzieł traktujących o kobietach, to ze stanowiska prawnego, to etycznego, to fiziologicznego, to literackiego. Wszystkich celem jest zbadać i określić naturę kobiety i wyznaczyć jéj stanowisko w społeczeństwie odpowiednie do jéj zasobów fizycznych i duchowych. Oprócz tego w znaczniejszych stolicach odbywają się wykłady publiczne w tym przedmiocie. Poprzestaniemy na wyliczeniu kilku dzieł, jakoto: „Ostatnie słowo o kobietach“ (par L. J. Larcher); „Poeci i kobiety“, (von Karl Frenzel); „O zbytku kobiet, obyczajach, literaturze i cnocie“, (par Feydeau); „Galerye portretów kobiet“ itd. Pomówimy kiedyś o nich obszerniéj, tym razem zatrzymamy się przy dziełku Bogumiła Goltza, odnoszącém się „do charakterystyki i historyi naturalnéj kobiet“. Czynimy to ze względu na rozgłos, jaki to dziełko w Niemczech uzyskało. Czy u nas byłoby równie popularném — jest inne pytanie; pisane jest bowiem nazbyt po niemiecku, tj. w stylu filozoficznym, przeciążonym definicyami; określeniami, gmatwającemi się bezładnie; wiele rzeczy się powtarza, miesza i główny przebieg myśli autora potrzeba dopiero z mozołem wydobywać z pstrocizny i przesady stylu. Niemniéj jednak książeczka ta ma zalety, a choć autor w niéj surowo i bez należnéj względności odsłania i podnosi wszystkie ujemne strony natury kobiecéj i zestawia je w rażącéj sprzeczności z dodatniemi przymiotami mężczyzn; to jednak ta niegrzeczność — że tak powiem — ze strony p. Goltza zamiast być wadą, stanowi urok jego dziełka, kobiety bowiem, chociaż lubią komplementa, ale się niemi przesycają; gdy przeciwnie opozycya choć rozdrażnia, ale zajmuje.

Streścimy w kilku ustępach to dziełko, pełne trafnych uwag, spostrzeżeń i charakterystycznych rysów.

Autor utrzymuje, że w stanie dzikości niema wybitnéj różnicy między mężczyzną i kobietą, odnośnie do ich zajęć i usposobień, dopiero ze wzrostem uprawy i cywilizacyi, przeciwieństwo coraz bardziéj występuje. Im więcéj z postępem czasu rozwija się to, co stanowi istotę męża, tj. rozum formalnie wykształcony, przedsiębiorczość, energia, surowość i otrząsanie się z wpływów zmysłowych — tém więcéj zachodzi potrzeba, aby tę jego nienaturalną jednostronność przywracały do harmonii i uzupełniały przymioty czysto i wyłącznie kobiece: wdzięk, bierność, łagodność, usłużność, miłość i ów przeczuciowy, poetyczny instynkt. Mimo starań i wychowania, kobiety zawszę będą miały mniéj formalnego rozumu a więcéj rozumnego sprytu Pochodzi to właśnie stąd: że w ustroju świata przedstawiać one muszą naprzeciw teoryi mężczyzn praktykę i uszlachetnioną przyrodę. Na tém polega właściwa kobiecość i ztąd też pochodzi jéj zagadkowość, jest bowiem równie jak przyroda niewyczerpaną i pełną niespodzianek. Nieprzewidziane przejścia i przemiany leżą w naturze kobiety, gdy przeciwnie jednostronność i typowość mężczyzn jest nierównie łatwiejszą do przejrzenia. Ztąd też geniusz kobiet zależy nierównie więcéj od ustroju ciała, klimatu, szczepu, wychowania niż geniusz mężczyzn, który umie się siłą swoją wydobyć z tych stosunków krępujących, sięga działalnością swoją po za rodzinę. Na połączeniu więc tych dwóch odmiennych geniuszów polega szczęście rodzinne. Mężczyzna jest ogniwem wiążącém kobietę z ludzkością, ztąd jéj przywiązanie do niego.

W zajmujący sposób autor daléj tłumaczy trudność przyjaźni między kobietami, a nawet utrzymuje, że kobieta bez niéj obejść się może, co u mężczyzn jest prawie niepodobném. Motywuje w ten sposób:

Każda kobieta może przedstawiać swój rodzaj w zupełności, wszystkie jego rysy, cnoty, zręczności. Uczona i literatka potrafi w danym razie zająć się gospodarstwem, ręczną robotą, umie być matką. Przeciwnie żaden mężczyzna nie może przedstawiać w sobie głównych cnót i przyrodzonych zdolności swego rodzaju, przedstawia jedną ich część tylko. Ztąd pochodzi, że tak trudną i rzadką jest prawdziwa przyjaźń między kobietami. Nie owe do znudzenia powtarzane trywialne i małostkowe zawiści są tego przyczyną, jest inny powód zasadniczy, leżący w naturze rzeczy. Przyjaźń powstaje z potrzeby uzupełnienia się między osobami jednéj płci. Tymczasem kobieta w zakresie swojéj płci sama się uzupełnia i wystarcza sobie. Matka czy to włościanka, czy królowa, czy cyganka, zawsze jest matką jedną i tą samą; przeciwnie chłop, cygan, uczony, prawodawca, są to wszystko odmienności potrzebujące się nawzajem, bo to,

co stanowi ich istotę, jest zupełnie różném. Kobiety najodmienniejszego wychowania i zatrudnień, pozostają co do istoty zawsze temi samemi. Zaniedbana dziewczyna miejska lub wieśniaczka bez ogłady, przedstawiają często w całéj pełni i piękności wdzięk i powab swéj płci — tego nie można powiedzieć o parobku lub małomiejskim kawalerze.

Z tego założenia wychodząc, autor robi różne ciekawe postrzeżenia.

Dziewczyna góruje nad młodzieńcem równego wieku ukształceniem, charakterem i praktycznością; mężczyzna w sile wieku, przeważa nad kobietą i dopiero podeszła matrona odzyskuje znowu przewagę nad zgrzybiałym starcem. Kobieta bowiem nie wyczerpuje się tak prędko. U mężczyzn zwykle jeden kierunek pochłania wszystkie siły i krzywdzi je; u kobiet jest przeciwnie większa równowaga władz ciała i duszy, ztąd nabierają wytrwałości upornéj, cierpliwości, i w najkrytyczniejszéj chwili kobieta często łatwiejszy ma wybór i stanowczość. Nie idą bowiem za teoryą, za ideą, za prawem i prawdą jak mężczyzni, ale folgują instynktom, upodobaniom i naturalnym sympatyjom; nie sądzą według powodów, ale według miłości. Płytkość ich rozumowań jest ogrzana sercem, dla tego jest pełną życia, rozmaitości i ruchliwości; dla tego lubi być bierną i ofiarą; wybujałość zaś i twórczość męzka potrzebuje samodzielności obok wypoczynku i ciszy.

Kobieta jest porywającą, wdzięczną, dla tego, że jest naturalną, bezładną w sobie, oddaną wrażeniom chwili, nieuchwyconą co do właściwości swego charakteru. Mężczyzna jest nieznośnym, szorstkim, pedantycznym dla tego, że charakter jego i obyczajowa wartość wyraziściéj jest naznaczoną. (Ciąg dal. n.)

[illegible]

(USTĘP Z PAMIĘTNIKÓW.

I.

Wyjazd z Genui. — Ciekawy egzemplarz jenerała. — Hrabia Sandor T. — Towarzystwo na pokładzie.— Liworno.— Mistyfikacyja — Brzegi Sardynii. — Wieczór na morzu.

Po niedoszłéj wyprawie w Bergamo, mówiono o zamiarze nowéj wyprawy, różne o tém chodziły wieści; by się czegoś pewniejszego dowiedzieć, postanowiłem na jakiś czas jechać na Kaprerę, aby zwiedzić wyspę, jakoteż poznać lepiéj człowieka, dla którego oddawna największy powziąłem szacunek. Zamiar mój znanym był innym rodakom bawiącym tak w Turynie jak w Genui. Razu jednego donosi mi Piotr Z. w liście z Genui pisanym, że przybył z kraju pewien jenerał moskiewski, Polak, i bardzo sobie życzy mnie poznać, że przyjadą do Turynu, prosi więc, by mu donieść, czy będę w domu.

W parę dni po tym liście otrzymuję wizytę tych panów. Pan jenerał był rzadkim egzemplarzem żołnierza. Średniego wzrostu, w peruce, mimo lat 50ciu jeszcze zwinny, fanfaron jakich mało, a do tego bardzo uczuciowy człowiek. Duże złote bransolety zdobiły jego ręce, nosił on je, by się zabezpieczyć od przecięcia pulsów, kresy na nich świadczą, że mu dobrą były w bitwach i pojedynkach obroną; prócz tych bransoletek i wielu na palcach pierścionków, trzy z nich rozciekawiały oryginalnością swoją. Były to bowiem pierścionki, w które zamiast drogich kamieni, oprawiono zęby ludzkie, dwa z nich były ząbki ukochanéj córki, pierwsze które straciła, trzeci duży spruchniały należał niegdyś do nieboszczki żony, a biegły badacz archeologicznych zabytkó, ileżby nocy i dni przebolałych w ruinach jego odczytać nie potrafił?

Nieszczęśliwy ciekawy, któren zapytał coby to były za kamienie w tych pierścionkach, musiał wysłuchać historyi wszystkich trzech zębów, którą z płaczem poczciwy jenerał opowiadał, a którą ja czytelnikowi daruję. W ogóle jenerał żyjąc wiele w towarzystwie wyższém, do którego ze względu na swój stopień był przypuszczonym, nauczył się dobrego tonu i nim nieźle pokrywał nie bardzo gruntowną edukacyją. Wziąwszy dymisyą i bawiąc za granicą, a mając wielką ochotę widzenia wszystkiego, o niczém nie myślał jak o zabawach. Po naszém zaznajomieniu jak tylko dowiedział się, że mam zamiar udania się na Kaprerę, prosił koniecznie, bym podróż tę przyspieszył, gdyż zemną pojedzie.

Zabrawszy z sobą Władysława R., pojechaliśmy razem do Genui, zkąd pierwszym odchodzącym statkiem, utrzymującym związek między lądem włoskim a Sardynią, mieliśmy się udać w zamierzoną podróż.

W Genui dowiedziałem się, że kilku oficerów wyższych ze sztabu Garibaldego, oraz kilku znajomych Włochów również się tam wybiera. Prócz tych Włochów także i jeden Węgier pułkownik hrabia Sandor T., wielki przyjaciel Polaków, ten sam co należał do owego sławnego w swym czasie mazura w Hiszpanii, a w roku 1849 tak szczęśliwie uniknąć potrafił wyroku śmierci.

Po złożeniu broni pod Vilagos, skazanym on został na karę śmierci. Nie traci jednak czasu ani przytomności, będąc na wolnéj nodze, przebiera się za żokeja Anglika i przyjmuje służbę do koni u samego jenerała Hainau, i w czasie, kiedy go wszędzie poszukiwano listami gończemi, jenerał chlubił się swym Anglikiem przed innemi oficerami, którzy mu go zazdrościli i odmówić chcieli. Anglik stał się ulubieńcem oficerów, nareszcie razu jednego pojechawszy na spacer, z końmi nagle znika, a w jakiś czas jenerał odbiera list od hrabiego ze Stambułu z załączonym wekslem na wartość koni. Łatwo sobie wyobrazić radość jenerała Hainau.

Podróż ta wiele obiecywała przyjemności. Ażeby zapoznać z tymi nowymi towarzyszami jenerała, mieliśmy

się zejść w kawiarni Concordii, nazajutrz bowiem z rana mieliśmy odpłynąć.

Prawdę mówiąc, postać pana jenerała nie bardzo się spodobała oficerom włoskim, ale za to hrabia T. lubiący żarty, przyczepił sę od razu do jenerała, obiecał że mu będzie ciceronem całą drogę. Temu byliśmy bardzo radzi, bo znając hrabiego jako człowieka wielce dowcipnego i znającego świat, niejedną przyjemną chwilę naprzód obiecywaliśmy sobie.

Na drugi dzień o godzinie 7méj z rana byliśmy już na statku parowym, na ktorym prócz nas liczne było grono kobiet. W pół godziny po naszém przybyciu odpływaliśmy, łódki, które nas do okrętu przywiozły wracały, opuszczaliśmy port.

Port genueński samemu tylko neapolitańskiemu ustępuje w piękności. Patrząc nań od strony miasta, nieokazuje nam się w całéj świetności, lecz dopiero wypłynąwszy z ćwierć mili na morze. Hrabia T. doradzał zasłonić oczy i na umówiony znak dopiero podziwiać to piękno. Lubo nie pierwszy raz tę drogę odbywałem, usłuchawszy téj rady, jakiegoż nie doznałem wrażenia? Ta zatoka ubarwiona banderami rozmaitych narodów, ten wdzięczny okręg stanowiący nadbrzeże: powyżéj pyszne miasto, wznoszące się w kształcie amfiteatru, przedtém jeszcze latarnia morska zbudowana śród portu, wreszcie dwie olbrzymie groble posuwające się w morze, jakby ramiona rozłożone na przywitanie przybywających,— kogożby zachwycić to nie potrafiło? Na jakie parę mil od Genui całe nadbrzeże jest jednym tylko ogrodem, posianym wiejskiemi pałacykami, zbudowanemi z jak największym zbytkiem. Wszystko to zachwycało oko i duszę, patrzałem długo, długo; niknęły najprzód gmachy jeden za drugim, późniéj cały krajobraz zniknął jak we mgle, pozostało tylko niebo, morze i okręt a na nim my i kobiety zachwycające się również tym malowniczym widokiem.

Niemając na teraz prócz nich nic więcéj do podziwiania, zrobiliśmy rekonesans, a rezultatem jego było dowiedzenie się, że to jest trupa aktorów, płynąca na teraz do Cagliari na Sardynią, a ztamtąd późniéj do Konstantynopola.

Panie te były prawie wszystkie jak to mówią *entre deux ages*, tak między 18tym a 40tym rokiem. Za to choć nie tak bardzo młode, posiadały jednak tyle dowcipu i pewnego rodzaju agasujących wdzięków, które nietylko z niemłodéj, ale nawet i z nieładnéj robią jeszcze *une femme desirable*. Odznaczała się między niemi Judyta, prima donna, licząca się do młodszych, jeszcze piękna i postaci dobréj, łączyła w osobie swéj i twarzy tyle jeszcze gracyi i piękności, żeby inne swe koleżanki podróży niemi wyposażyć mogła. Widać było, że musiała być kiedyś ozdobą sceny i ideałem eleganckiéj młodzieży. Zapoznanie z temi paniami było prędkie, byliśmy jak dobrzy i dawni znajomi, na jenerale Judyta niepospolite zrobiła wrażenie.

Statek nasz szybko pruł powierzchnię morza, dążyliśmy do Liworna. Niebo uśmiechało się serdecznie, modre szczyty gór dawały się już coraz lepiéj widzieć. Wzrok napotykał wysepki Capraja i Gorgone, późniéj rozpoznać było można port Liworna; widać było wzgórza wznoszące się od południa i północy miasta, okryte oliwnemi drzewami, drogę do Montenero, miejsca pobożnych Liworneńczyków, wijące się nad brzegiem morza po lewéj stronie miasta, łańcuch pagórków pokrytych winnicami. Minęliśmy skałę z latarnią morską i wpłynęli do portu, którego cytadela i dobre warownie bronią. Port ten jest bezpieczny, dla powiększenia go rozpoczęto roboty, bo ruch handlowy jest tam duży.

Niezmordowany jenerał chciał korzystać z dwugodzinnego tu przystanku i zobaczyć miasto, niepomogły nasze przedstawienia, że w tém mieście niema nic do widzenia. Siedliśmy w łodzie, zabrawszy dwie z tych pań — ma się rozumieć Judytę. Pułkownik Bruccsi zaprosił nas na lody. Przy wsiadaniu do łodzi, jenerał chciał być *cavaliere servante* Judyty, padał jéj rękę, lecz w téjże chwili hrabia T. wskoczył z połowy schodów do łodzi, ta poczęła się chwiać, a nieprzyzwyczajony jenerał o mało nie wpadł do morza, skończyło się jednak na spadnięciu jego kapelusza i skrzywieniu peruki.

Mimo bogactwa miasta Liworna, nikt w niém nie szuka wspomnień historycznych, niema tam ani obrazów, ani dzieł rzeźby; jedna grupa bronzowa postawiona przy wnijściu do portu zasługuje na jakąkolwiek uwagę, choć nie miłe robi wrażenie, wyobraża bowiem cztérech niewolników w kajdanach u stóp wielkiego księcia Ferdynanda I.

Wszystkie budowle miasta są tegoczesne i niema żadnego gmachu, któreby imponował lub przynajmniéj zwracał uwagę. Obszerny rynek zajmuje środek miasta, wchodzą weń szerokie ulice, pod sznur prowadzone. Ulica Ferdynanda, ognisko handlu, zawsze ludna i bogatemi ozdobiona sklepami. Część miasta przerznięta kanałami, któremi prowadzą towary aż do bram składów. nazwaną została nową Wenecyą.

Powróciliśmy z miasta na okręt, prawie na śniadanie, które rozpoczęło się z wyruszeniem parowca w dalszą podróż. Śniadanie ożywiała rozmowa hrabi T. z jenerałem, który zgrabnie naciągnął rozmowę o pierścionkach, wysłuchaliśmy historyi zębów, a łzy rozczulenia które ronił, tém ciekawszym zrobiły go w oczach naszych towarzyszek podróży. Judyta siedziała między mną a jenerałem, tyle naprawiła mu grzeczności, że jenerał mógł być szczęśliwym nawet i bardzo szczęśliwym. Między pierścionkami jenerała był także jeszcze jeden z główką kobiety, rzniętą z szafiru; zapewniał nas, że lubo wartość jego nie wielka, za żadne skarby

świata by go nie oddał, bo to pamiątka pierwszéj jego miłości, którą nam również chciał opowiadać. W oczach Włoszki błysnęła chęć posiadania pierścionka, nie dla wartości, ale dla pokazania siły resztek ulatujących wdzięków, których próbę postanowiła zrobić na jenerale. Robione mu przez nią grzeczności, utwierdziły mnie w tém, za to też już jenerał nie widział nic, prócz oczu Judyty, — próżnemi były uwagi hrabi T., żeby się patrzył na nowy dający się nam coraz lepiéj widzieć krajobraz.

(Ciąg dal n.)

Opis ryciny, mód i krojów.

Pora jesienna znaczny już wpływ wywiera na zmianę toalety, bo chociaż jeszcze się nam niejeden piękny dzień dostanie, jednak trzeba już myśléć o cieplejszych ubiorach. Podajemy obecnie w tabeli krojów z połączeniem żurnalu paryskiego piękny wybór jesiennych wzorów. — Główną rolę odgrywać będzie paletot i jego pokrewne kaftany i żaczki; ale w tak nowych oryginalnych krojach, że się zupełnie różnią od dawnych, dowód tego daje dzisiejszy żurnal (Fig. 1, 2 i 4), które już oznaczają dzisiejsze stroje jesienne. Kaftan Fig. 1. jest z mocnéj podwójnéj materyi, wąskiemi jedwabnemi wstążeczkami bogato ubrany; przodek, plecki i boczki tworzą dołem znaczne wycięcia; z przodu pod wyszywaniem idącém od ramienia, jest wygodna kieszonka; przodki aż do dołu spięte na guziki.

Fig. 2. przedstawia jesienny żaczek z kapiszonem. Po bokach są wcięcia, a naokoło końce, przy których umocowane bogate kusasy, jak również u trzech końców kapiszona. Jak się składa i przykrawa, łatwo poznać według tabeli krojów N. 9. Żaczek ten z takiéj saméj materyi jak suknie, bardzo ładnie ubiera.

Fig. 3. przedstawia toaletę spacerową lub wizytową. Zgrabny żaczek złotym sznurkiem obszyty w koło, jest jak zwykle skrojony wcięto, dla tego nie dajemy osobnego wzoru.

Fig. 4. przedstawia już ubiór zimowy. Paletot z podwójnéj materyi, z szerokim kołnierzem; przybory w guście greckim z wyrobów szmuklerskich lub roboty maszynowéj. Zresztą przedstawia nasz żurnal najnowsze kapelusze, które wyjąwszy okrągłych, są jeszcze bardzo małe. Będą też używane wszelkie wyroby z włóczki, tak na głowę, jakoteż do ubierania płaszczów, kaftanów itp.

Przed opisem krojów, podajemy raz na zawsze objaśnienie, w jaki sposób można z łatwością formy te powiększyć do naturalnéj wielkości. Główną podstawą jest miara, którą zastósowawszy do osoby, trzeba oznaczyć numerami, w sposób, jak na tebeli są oznaczone, potém odrysowawszy model, według téj miary go zwiększyć, przez co z łatwością do każdéj figury może być zastósowany; najlepiéj jest wziąść miarę u góry w ramionach, a według téj wszystko się da obliczyć. *Każda z podanych form dla osoby proporcyonalnie zbudowanéj, może być śmiało powiększona 48 razy.*

Fig. 1. do 5. Kaftan jesienny zastósowany do Fig. 1. żurnalu. Fig. 1. plecy; Fig. 2. przodek; Fig. 3—4. boczki. Co się tyczy wyrobów czyli obłożeń tego okrycia, odsełamy do Fig. 1. żurnalu. Na tabeli krojów jest obłożenie potrójną linią oznaczone, nawet na rękawie N. 5. Rozumie się, że niezupełnie można się stósować do rysunku ale koniecznie do wzrostu i figury osoby dla któréj się robi, co się da ściśle osiągnąć przez miarę wziętą w plecach, w piersiach, boczkach i szyi. Także szczególnie uważać potrzeba przy sukniach wciętych, czy wcięcie ma być wyżéj lub niżéj, według wysokości osoby.

Fig. 6. do 10. żaczek jesienny z kapiszonem według Fig. 2. żurnalu. Żaczek ten dosyć długi, jest pół wcięty, tj. że tylko nieznacznie określa figurę; po bokach jest dosyć wysoko rozcięty. Bardzo ładnie wygląda kapiszon z trzema końcami, przystrojonem jak równie i końce boczne w bogate kutasy. Formę łatwo wyciąć według Fig. 9., przypatrzywszy się zarazem dobrze Fig. 2. żurnalu.

Fig. 11. do 16. jesienny i zimowy paletot, z kołnierzem według Fig. 4. żurnalu, w grecki sposób naokoło ubrany. Krój zwyczajny, niepotrzebuje osobnego objaśnienia. Połowa przodka szerokiego kołnierza Fig. 15. zeszywa się z tylną połową N. 16., która jest w koło i od dołu tym samym deseniem greckim przystrojona; tak samo i rękaw Fig. 14. Fig. 17. do 24. jesienna suknia z kapiszonem, model paryski. Forma ta głównie się stosuje dla młodszych.

Fig. 20. i 21. kapiszon z długiemi jedwabnemi kutasami, wielkia kieszenie i guziki.

Fig. 25. do 29. jesienny i zimowy paletot, w guście angielskim, według żurnalu z Londynu; da się tylko użyć z grubéj wełnianéj materyi.

Fig. 30. do 38. Forma stanika z różnemi wyrobami, model wiedeński.

Fig. 33. do 38. przedstawia różne sposoby przyrządzania tych staników.

Fig. 39. do 43. Paleto jesienne dla panienek od lat 10 do 13.

Fig. 44. do 47. Pasek z połami tak zwany peplos, jest to toaletowy przedmiot, coraz więcéj używany przy sukniach takiéj saméj materyi i koloru. Jeżeli suknia spięta do góry i obszyta w kształcie paleta, to trudno rozróżnić czy poły peplosa nie są rzeczywiście paletotem, do którego przymocowany pasek, są bowiem przymocowane do paska i spęte z przodu.

Korespondencja „Kaliny".

Zamierzamy zaprowadzić stałą kronikę ruchu towarzyskiego, umysłowego i sztuk w całéj prowincyi naszéj. Upraszamy więc o zasilanie nas potrzebnemi wiadomościami, bez czego ta rubryka jest niemożliwą.

— **Panu J. Si. w Wenecyi.** Powieści pańskiéj drukować nie możemy, brak jéj oryginalności. Natomiast opisy zwyczajów i spostrzeżeń z tamtych stron byłyby nam bardzo pożądane. Egzemplarzy „Kaliny" posełać nie możemy w kopercie, chyba na koszt.

— **Pani Z. H. w Ciesz...** Artykułu prywatnie nam przysłanego jeszcze nieotrzymaliśmy. Za rady łaskawie nam udzielone, dziękujemy.

— **Pani S. P. w Krakowie.** Artykułu przeciw kronice „Czasu" umieścić nie możemy. Za ciasne są ramy naszego pisma, by je otwierać polemice tchnącéj osobistością.

☞ Przy dzisiejszym numerze załącza się dla Prenumerujących: **rycinę mód i arkusz krojów. — Nuty załączone będą** przy Nrze 3.

Numer 2. „Kaliny" zawierać będzie: „Patryjarchalność polska", p. X. Wojciecha z Medyki.— „Żony niewolników" (ciąg dalszy). „Pogrzeb dziecka", wiersz przez Amelią P.— „Wyprawa do fotografa, humoreska. — „Stanisław Moniuszko", przez St. Dunieckiego. — „Kaprera" (ciąg dal.). — „List" do Redakcyi Ludwiki Leśniowskiéj. — „Wiadomości bieżące" itd. itd.

Główni współpracownicy: Michał Bałucki i Alfred Szczepański.
Odpowiedzialny redaktor: Tadeusz Wojciechowski.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. 1866.

